

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Niezapominajka.

Pan Bóg stworzył dnia trzeciego,
Dla ozdoby świata tego,
Różnobarwne wonne kwiatki,
Lilie, róże i blawatki.

Dawszy im różne znamiona,
I według tychże imiona,
Rzekł: idźcie drogie dzieci, na
Na góry, lasy i doliny.

Łąki, wody i tam roście.
Kwitnąć, chwaleć moją głosić
Lecz nim was w drogę wyprawie,
Najprzód was pobłogosławie.

Kwiaty głowy pochylły,
I tron Boży opuściły.
Lecz kwiat jeden, modry, mały.
Powraca jeszcze, nieśmiały,
Stwórca go z uśmiechem wita:
— Co mi powiesz dziecie? — pyta.
Kwiatek się niziutko skłoni,
I rzecze do Stwórcy swego:
— Zapomniałam miana mego:
Racz mi je, Stwórco, powiedzieć,
Już ja będę zawsze wiedzieć.

Zapomniałaś swego miana,
To nie dziecino kochana,
Ale o mnie nie zapomnij,
Chcę być w myśli twej przytomny.

Na potoku rośnij sobie, I
Ja nie zapomnę o tobie.
Chcę byś rosła, kwitła, żyła
Niezapominajko miła.

Dobry przykład.

Pewnego dnia po południu siedział Marcinek przy stoliku i pisał zadanie, które nazajutrz miał oddać w szkole.

Wtem przychodzi do niego Ludwik, kolega szkolny i mówi:

— Przestań już pisać, a chodź ze mną czemprędzej! Ojciec Mikołajka kazał nam przyjść do sadu, gdzie obierają gruszki. Pewnie pozwoli nam nabrać do kieszeni tych przysmaków.

Marcinek przełknął ślinkę na wspomnienie gruszek, lecz zastanowiwszy się trochę, rzekł do Ludwika:

— Wszystkoby to było dobrze, ale iść z tobą nie mogę, bo muszę pisać zadanie, a ojciec mój zakazał mi wychodzić z domu, dopóki wszystkiego nie zrobię należyście.

— Ależ mój Marcinku! — powiedział Ludwik — ja tobie nie odradzam byś nie pisał zadania, proszę cię tylko, żebyś ze mną poszedł do sadu, bo Mikołajek za pozwoleniem swego ojca prosił nas do siebie. Nie będziemy tam długo. Ojciec twój ani się nie dowie o tem, że wyszedłeś z domu. I mnie rodzice nie pozwolili oddalać się z domu, a przecież pobiegnę na chwilę do sadu...

— To źle robisz — przerwał Marciniek.
— Ja zaś tego nie uczynię, za nic w świecie, bym wychodził, gdy mi ojciec nie pozwolił.

— Więc nie pójdziesz?

— Nie pójdę, wolę zrobić swoje.

— A to śledź sobie; ja sam pójdę! — zawołał Ludwiś, i spieszenie wybiegł z pokoju.

W drodze jednak pomiarkował się i pomyślał sobie:

— Rzeczywiście, Marciniek ma słuszość. Lepiej napisać zadanie, a potem iść na gruszkę. I to pomyślawszy, zwrócił się ku domowi. Zabrał się zaraz do pisania, i gdy ukończył lekcye, pozwolił mu ojciec pójść do Mikołajka, który przyszedł po niego.

Marciniek poszedł zaś; napisawszy zadanie w pole i tam spotkał innych chłopców, z którymi bawić się zaczął.

— O jakże dobrze zrobiłem, że napisałem zadanie! — pomyślał sobie Marciniek, gdyż teraz nie mógłbym się tak bawić przyjemnie.

Rano wstał wesół i ochotczy szedł do szkoły. Spotkał Ludwisia. Wita go uprzejmie, a Ludwiś mówi:

— O jakże ci jestem wdzięczny, że mi poradziłeś iść do domu. Nie poszedłem od razu do Mikołajka, napisałem pierwszej zadanie, a potem ojciec pozwolił mi pójść do niego. Teraz idę do szkoły, a ojciec mój cieszy się, że wszystko wykonał należycie. Dziękuję ci za to serdecznie!

— I widzisz mój Ludwisiu! — odrzekł Marciniek, że lepiej pracować, a następnie się bawić. Dobrze więc mówi pieśń, którą napisał Stanisław Jachowicz:

Gdym spełnił powinność moją,
To nikogo się nie boję:
Idę śmiało patrząc w oczy,
Kto nie taki, niech mi zboczy.

Drzewo rodzące talary.

Boleś miał szczególniejszą skłonność drugich w pole wywodzić. Raz pisał list u siebie; przed nim leżało pięć talarów, które miał posłać księgarzowi na kupienie książek.

Mała jego siostrzyczka Emilcia weszła do pokoju, a zaczawszy przewracać na stole zwyczajem dzieci, zobaczyła talary i spytała: — Bolciu, powiedz mi, skąd się biorą talary?

Boleś na to: — Rosną na drzewie. Posadź talar w ziemię, a zaraz drzewo wyrośnie i będzie miała dużo talarów.

To rzekłszy, pisał swój list pilno i nie uważał jak Emilcia wzięła talary, pobiegła do ogrodu i powsadzała w ziemię. Gdy zaś list skończyła, ona wróciła i rzekła: — Bolciu teraz będziemy mieli dużo talarów, wszystkie posadziłam w ogrodzie.

— Gdzieś posadziła? pokaż! — zawołał Boleś i ciągnął ją za rękę, aby mu wskazała miejsce. — Ale dziecko błądziło tylko po grządkach tu i owdzie wskazując: tu posadziłam — nie — tam posadziłam! — a gdy szukano, nie było. Słowem, talary przepadły!

Gdy się ta historia doniosła do ojca, zawołał syna i rzekł: — Widzisz Bolesiu, oto za kłamstwo zapłaciłeś pięć talarów. Nie dziwię się Emilce, że chciała sadzić talary, bo to dziecko — ale na twoją złośliwość i ustawiczną chęć rozsiewania kłamstwa gniewam się na prawdę.

Asem i królowa duchów.

(Ciąg dalszy.)

Gdy im zaś powiedział, że się na wyspę Waak al Waak za żoną swoją wybiera, struchlały prawie z przerażenia i powiedziały mu zaraz, że to rzecz niepodobna, gdyż żaden człowiek nie żyje tak długo, aby mógł odbyć tę podróż, a przeto żaden człowiek nie znieśli tych trudów i przeciwności, które w drodze do wyspy napotka.

Asem przecież zdał się na Boga i jego pomoc i został przy swoim.

Widząc siostry myśl jego niezmienną, dały mu dwa listy w drogę. Jeden do swego stryja. Ten nazywał się Abdul Kodus i słynął z wielkiej mądrości czaroksiężalczej. Drugi list był do ich wuja nazwiskiem Abdal Sylib, który był jeszcze potężniejszy w tej sztuce.

W listach tych prosiły panny o pomoc i radę dla Asema, który też wnet siostry pożegnał i po gorącej modlitwie w drogę śmiało wyruszył.

Szedł tedy Asem dalej a dalej przez puszcze i lasy, przez piaski i ostre skały, przez błota i dzikie cierniste zarośla, ale szedł niezmordowany, w Bogu jednym mając nadzieję, że nie zginie i swego dokaże. Gdy tak szedł a szedł parę miesięcy, mając tylko słońce i gwiazdy na niebie swemi przewodnikami i żywiąc się to dzikimi

owocami, to korzonkami roślin, przyszedł nareście w strony nadzwyczaj piękne i urodzajne, iż mu się zdawało, że chyba doszedł już do samego raj.

Wśród tego rozkosznego kraju ujrzał zdaleka budynek wspaniały, a gdy się zbliżył, zobaczył przed nim starca z siwutką jak śnieg brodą po pas, który siedział sam jeden przed domem i patrzył na niego.

Asem skłonił się starcowi z wielkiem uszanowaniem, starzec zaś nie mógł wyjść z podziwienia, jakim sposobem żywy człowiek mógł dojść do jego mieszkania, gdyż tego nigdy jeszcze nie bywało. Podobała się przecie starcowi skromność Asema i dobre jego ułożenie oraz dostojna uroda, więc przywitał go mile i zaprosił, aby usiadł i posilił się, a wnet też liczni słudzy zastawili stół potrawami, owocami i chłodnymi napojami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Piękny postępek Maryni.

Stryj sześciolatej Maryni, wyjeżdżając do kapłani, obiecał jej przywieźć stamtąd cały sprzęt do śniadania ze szkła czeskiego. Dwa miesiące naprzód cieszyła się i oczekiwała niecierpliwie tych cacek. Nakoniec stryj przyjeżdża, sprzęt szklany przywozi i jeszcze zapakowany oddaje szczęśliwej Maryni. Odwija go ostrożnie, a za każdą dobytą miseczką, za każdym kubeczkiem okrzyk nowy, ustawia wszystko na szklanej tacy i nie posiada się z radości.

W tem babunia Maryni w drugim pokoju będąca, woła na nią, żeby te piękne rzeczy przyniosła; dziewczynka bierze tackę, idzie pomału, tak że babunia wymawia jej tę przesadzoną powolność; a wychodząc przeciw niej, chce odebrać z jej rąk sprzęt cały, ale przez prądkość wytrąca go, pada na ziemię piękna tacka, i wszystkie miseczki, kubeczki, imbryczki na drobne kawałki się tłuką!...

Marynia ani nie krzyknęła, ani zapłakała, tylko zarumieniwszy się mocno, pocałowała, babunię w rękę i te słowa wyrzekła: „A widzi babunia, że to dobrze czasem być powolną“.

Po chwili babunia zmartwiona wyszła z pokoju, chcąc zapewne wynaleźć dar jaki dla wynagrodzenia Maryni; ona zbierała smutnie szczątki swego skarbu, rozrzucone po podłodze, przymierzając jedno do drugich, kiedy wszedł stryj. Zobaczywszy z zadziwieniem podarunek swój już

potłuczony, zaczął lajać dziewczynkę za taką nieostrożność. Ta serdecznie się rozplakała, lecz nie powiedziała słówka na swoje usprawiedliwienie. Dopiero za powrotem babuni cała rzecz się wydała, a Marynia w uściśnieniach i pochwałach zacnej matki i krewnych, w uczuciu własnego serca znalazła postępek swego wynagrodzenie.

Matka.

Dziecię! jest mnóstwo aniołów w niebie,
Co każdy krok twój śledzą z obłoku,
Lecz tu na ziemi, tak blisko ciebie,
Czuwa twój anioł z łezką na oku,
On cie osłania skrzydły swojemi,
A więc go kochać i czcić, potrzeba,
Bo kto zasmuci anioła ziemi,
To jakby smucił aniołów z nieba,
Czej więc i kochaj matkę jedyną,
Bo to twój anioł, droga dziecino.

W. Belza.

Skradzione korale.

Zdarzenie prawdziwe

Niedawno temu pewnej gospodyni, Błażejowej, skradziono ze skrzyni oprócz innych rzeczy także korale dość znacznej wartości. Wszelkie poszukiwania i dochodzenia w tym względzie były bezskuteczne, bo o złodzieju jak to mówią, ani słyhu ani dychu. Wielkie zamieszanie i lament powstaje w chacie Błażeja — daremnie.. korale przepadły. Aż tu zjawia się ktoś z radą;

— Błażeju — rzecze — korale się wrócą, tylko idźcie do wróża, on wam wskaże złodzieja na dłoni, jestem pewien.

Ponieważ ludzie teraz zmądrzeli i wiary wróżom, zażegnawcom, oweczarzom i innym oszustom nie dają, więc ich mało się już błąka po świecie, bo wiedzą, że ze swego cygaństwa nie wyżyją. Dziś więc wróża trzeba szukać bardzo daleko i Błażej znalazł takiego. Poszedł kilka mil do niego w tej błogiej nadziei, że ów człowiek powie mu, gdzie ma szukać skradzionych rzeczy.

Zapłacił więc grubo wróżowi, opowiedział, o co był zapytany, a w końcu o skradzionych rzeczach i usłyszał następujący wyrok: Szukajcie w ko morze na półce u waszego bliskiego sąsiada Jó zefa, tam są wasze korale.

Błażej miał rzeczywiście sąsiada, któremu Józef było na imię, bo na wsi Janów i Józefów najwięcej, więc się zrazu uradował niezmiernie odkryciem sprawcy swego nieszczęścia, pokłonił się pięknie wszystkowiedzącemu wróżbiarzowi i wybrał się z powrotem do domu. W drodze jednak zadumał się wielce, ów bliski sąsiad Józef był najlepszym jego przyjacielem i doradcą, we wsi był szanowany i kochany jako stary uczciwy gospodarz, więc jak tu iść do niego z rewizją? Lecz dla Błażeja wróż była mądrością samą? Co ten powiedział, musiało być prawdą. Trzeba szu kać w komorze u Józefa korali, co też nierozsą dny Błażej uczynił.

— Człowieku! rzecze Józef okropnie zmar twiony, weź Boga na pomoc, przeżegnaj się krzyżem świętym, co ty robisz? szatan cię opętał!

— Nie — odrzeknie Błażej — u was na pół ce, w komorze, otwórzcie komorę!

Pozwolił Józef wszystkie przeszukać zakątki, nie znaleziono korali. Zamiast coby Józef mógł być zaskarżyć głupiego i niedobrego Błażeja, że go niesłusznie posądził, to Błażej ufny w praw dziwość słów wróża, podał skargę do sądu, obwi niając Józefa o kradzież. Oskarżenia swego nie miał czem Błażej poprzec i byłby pewnie w kozie za swą głupotę odpokutował, ale przypadek ina czej zrządził. Po pewnym czasie dostali Błażej i Józef pozwy ze sądu stanąć na termin i obaj przybyli do miasteczka, w którym miała się ich sprawa rozstrzygnąć. W miasteczku tem właśnie był jarmark. Błażejowa, (gdyż także przyszła ze swym mężem) idąc przez rynek, spostrzegła swoje korale na szyi pewnej kobiety, i pochwywszy ją, krzyknęła: O święty Jacku! to moje korale! Całego zajścia, które się tam odbyło, opisywać nie będę, powiem tylko, jak się rzecz zakończyła. Żandarmy doszli całej sprawy na miejscu. Korale, które ta gospośia miała na szyi, były rzeczywiście Błażejowej. Kobieta owa, kupiła je od żyda, a żyd, jak sam zeznał, kupił je znowu od znajomego parobczaka. Szczęście, że owego parobczaka złodzieja, który lazi po żebraniu, wkrótce złapano i odstawiono do sądu. Przyznał się, że ukradł korale, kiedy zaszedł do Błażeja, a nikogo w domu nie było.

Wtedy dopiero poznał Błażej, że sobie głupie postąpił, poszedł natychmiast do poczciwego Józe fa, którego niewinnie posądził i prosił go o prze baczenie.

Józef przebaczył Błażejowi, dziękując zarazem Bogu, że w ten sposób wykryta została jego nie winność — i w ten sposób skończyła się cała historia.

Błażej atoli wracając do domu zaciskał pięści i mruzczał gniewnie pod nosem.

— Żeby tak tego cygana wróża miał tu przed sobą, tobym go uśmiercił! jaki ja też stary a jaki głupi! ludzie wezmą teraz człeka na swe języki i wstydu trzeba będzie zjeść niemało! ale już mnie drugi raz nie oszuka! i dziesiątemu po wiem, że wróż to wierutny cygan! a niech go za moją krzywdę Pan Bóg sekunduje!



Nie męczcie zwierząt.

Latem ptaki ścielą sobie gniazda. Zachęcamy ponownie wszystkich starszych, aby ze wszech sił starali się odwozić dzieci od psucia gniazd ptaków. Mają one licznych nieprzyjaciół, dla czegoż i ludzie mają być ich prześladowcami? Gdy się ptakom często psuje gniazda, wówczas opuszczają niegościnną okolicę.

Dzieci lubią się niemi bawić, a przytem nieraz męczą je okropnie. Niejedno dziecko przebija chrabąszcza i inne owady dla zabawy szpilką, lub przywiązuje nitkę do nóżki i puszcza w po wietrze. Nie trzeba pod żadnym warunkiem do zwolnić, aby dzieci męczyły owady lub ptaszki, gdyż wpływa to bardzo niekorzystnie na rozwi nięcie charakteru. Gdy człowiek w dziecięcym wieku zaprawi się do męczenia ptaków i chra bąszczy, będzie później dręczył swoich bliźnich.

Obrywają też dzieci bez potrzeby kwiecie drzew owocowych, wchodzą w zboże po kwiaty i nie myśląc sobie nic złego, uszczkną sobie nieraz żdźbła pożytecznej rośliny, lub gałązki z drzewa. I w tym kierunku należy wpływać na dzieci. Odzywamy się i do was, dzieci polskie. Nie męczcie zwierząt, nie psujcie gniazd ptakom i nie zrywajcie bez potrzeby roślin pożytecznych.

Wystawcie sobie, że nagle zjawiliby się ol brzymi tj. wysocy ludzie, jak najwyższe wieże kościelne, a ci olbrzymi chwitaliby was, aby wam wyrwać nóżki i rączki. Czybyście nie płakali z bólu? Pomyślcie, że i wy jesteście takimi olbrzymami wobec ptaszków i chrabąszczy. Pa miętajcie, że i one mają czucie, a Bóg powiedział, że „co tobie nie miło, tego drugiemu nieczyń.“